

♪[PRZECIĄGŁY.DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Przy mikrofonie Martyna Matwiejuk. Witam Państwa w styczniowej Kontroli Jakości, W pierwszym odcinku tego cyklu w nowym roku. Porozmawiam dziś z twórcami, których muzyczne wydawnictwa przykuły moją uwagę w ostatnim miesiącu. Przed nami miejskie legendy w jazzowo-folkowych aranżacjach zespołu Chłopcy Kontra Basia, powrót eklektycznego HEDONE, kierowanego przez Macieja Werka oraz zapowiedź albumu alternatywnej grupy Max Bravura, który okaże się w lutym. Zapraszam do wysłuchania audycji.**

♪[PRZECIĄGŁY.DŹWIĘK]

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Jest z nami Basia Derlak z zespołu Chłopcy Kontra Basia. Z początkiem grudnia ukazała się wasza trzecia płyta długogrająca, czyli Mrówka Zombie. Zanim jednak o tej mrówce, to chciałam cię zapytać, skąd w tobie to umiłowanie do niestworzonych opowieści, wokół których budujecie swoje kolejne albumy?**

**BASIA DERLAK:** Nie mam pojęcia, żeby tak przyjrzeć się temu i tak szczerze zupełnie odpowiedzieć, to nie wiem. To jest absolutnie rzecz, która jest mi bliska od dzieciństwa. Zawsze miałam bardzo zainteresowania niszowe i dziwne. Pamiętam, że w ogóle jako dziecko interesowałam się bardzo grupami kultowymi. Później przez to w życiu dorosłym trafiłam na religioznawstwo i kulturoznawstwo, i właśnie wokół wierzeń, mitów, kultów różnego rodzaju krążyły moje zainteresowania. Przez pierwsze lata Chłopcy Kontra Basia takim moim konikiem była kultura ludowa polska, ale też krajów bliskich nam. Natomiast ja w życiu nie zostałam specjalistką, mam wrażenie do żadnego tematu, ponieważ tak mi się barwnym wydaje świat i tak barwnym właśnie te wątki z pograniczy dobra i zła, prawdy i nieprawdy, że zaczęłam się interesować naprawdę tak różnorodnymi zjawiskami, że Mrówka Zombie jest taką mozaikową bardzo płytą, ponieważ są tam historie od Sasa do Lasa, od dalekiej Rosji po Amerykę

Południową i to, co tam je łączy, te historie, to jest po prostu to, że pewnego dnia pojawiły się na mojej drodze i ja zwolniłam kroku, i przyjrzałam się im bliżej.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Te legendy i opowieści towarzyszą wam od początku. Debiutancka płyta powstała akurat z zainteresowania folklorem, twórczością tradycyjną, natomiast Mrówka Zombie skręca od tej ludowości, kierując się ku miastu. I właśnie - czy miasto jest równie bogate w przesady i różne tajemnicze historie powtarzane z pokolenia na pokolenie?**

BASIA DERLAK: Okazuje się, że tak. Oczywiście ta przeszłość, historia, odchodząca w niepamięć mentalność dawnego świata ma w sobie niezwykle urok. Jest niezwykle pociągająca i czasami ma wrażenie, że rzeczywistość współczesna przegrywa z nią w kategorii atrakcyjności i tak też mi się to wydaje, że działo się to u mnie przez lata. Nawet wiesz, w literaturze i sztuce, którą gdzieś wybierałam dla siebie, to zawsze była jakaś taka doza niesamowitości, tajemnicy i taki dalszy rodowód, czyli interesowały mnie rzeczy sprzed wielu lat. Zarówno w muzyce ludowej, jak i w ogóle w muzyce rozrywkowej. Interesowałam się rockiem progresywnym, jazzem, muzyką lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Więc jakoś tak mi się wiodło przez te życie, że cały czas rzeczywistość codzienna wydawała mi się za mało atrakcyjna, żeby jej poświęcić taką twórczą uwagę. Mrówka Zombie jest taką próbą przełamania takiej ciężkiej łatki na codzienności, rzekomo nic w niej nie ma na tyle pełnokrwistego i ciekawego, i magicznego, żeby o niej opowiadać, bo jak się okazuje jesteśmy w takim czasie, że te informacje, tego faktu jest za dużo, a my cały czas nie wyrabiamy, nasze zwoje mózgowie nie wstąpiły na jakiś wyszły poziom zaawansowania, natomiast technologia bardzo i w tym zamęcie informacji my znowu popadamy w myślenie magiczne, snucie teorii spiskowych, w nowe objaśnianie świata, w uciekanie w duchowość alternatywną. Zupełnie tego nie oceniam, a nawet jeśli już, to bardzo pozytywnie, bo to jest coś, co zdecydowanie mnie interesuje i kręci, ale mówiąc o samych faktach: faktoidy, mity, creepypasty i wszelkie inne tego typu rzeczy. Po teorie, które każą nam się bać nauki, zdają mi się bardzo pełnokrwistym i ciekawym materiałem do opowiadania, nawet w formie piosenki.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Creepypasty można z łatwością znaleźć w internecie. Podobnie roi się w nim od teorii spiskowych, ale zastanawiałam się, co było twoim źródłem wiedzy o legendach miejskich, bo wiem, że poprzednio przy pracach nad albumami inspirowanymi folklorem bazowałaś na własnych nagraniach terenowych. Zresztą wydaje mi się, że dzisiaj to zainteresowanie wsią i ludowością jest bardzo duże i twórcy z różnych obszarów sztuki na tę wieś zagląдают. Sporo się o tym mówi i sporo się o tym również pisze, a co z tymi magicznymi twarzami miasta?**

BASIA DERLAK: Spojrzę słuchaj, aż na płytę. Wydaję mi się, że pierwsze te moje kroki skierowałam ku legendom miejskim. Na mojej półce znalazła się książka o nazwie „Znikająca Nerka”. Byłam też stałą czytelniczką fanpage-u Mitologia Współczesna i tam znajdowałam te wszystkie takie mikro historie, mikro-fabularne historie, że ktoś gdzieś się budził w wannie z lodem i widział, że ma ranę na wysokości nerki i później okazuje się, że została ona mu ukradziona podczas jakiegoś upojenia alkoholowego. To są takie mikro-rzeczy, one trochę też były taką skondensowaną pigułką. Podczas poprzedniej naszej płyty Chłopcy Kontra Basia „O” zajmowaliśmy się formami długimi, czytałam baśnie, apokryfy, długie historie, pieśni dziadowskie. Natomiast tutaj dostawałam takie pigułki, takie shoty informacji, w których zawierała się naprawdę mikro-historia z bardzo skondensowanym tekstem i umieszczona właśnie w realiach, uniwersum współczesnego miasta najczęściej. Były to teorie spiskowe jak najbardziej, od płaskiej ziemi poprzez tam nakładania folii na łepetynę. Tutaj mam takie zainspirowanie się też tarantyzmem i jest to zjawisko, które już wymarło, ale istniało w południowych Włoszech, lat temu, nie wiem pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, sto, jeszcze wcześniej. W Apulii, czyli najbiedniejszym regionie wówczas Włoch, wierzono, że kiedy pająk tarantula ukąsi takiego rolnika, czy najczęściej to była rolniczka, czyli kobiety, to te potrafiły wpaść w taki posesyjny szal, uznając, że są opętane przez takiego demonicznego pająka. Po latach okazuje się, że w ramach badań, badał to taki badacz Ernesto De Martino. Okazywało się, że bardzo często były to tylko pozory, które pomagały osobom zrobić sobie taki karnawaliczny szal, że po roku ubóstwa, biedy, pracy i smutku miały prawo w opinii publicznej, w opinii swojej społeczności wpaść w ekstatyczny trans, przez trzy dni tańczyć i jakby to było rozumiane. To był taki wentyl bezpieczeństwa dla tych ludzi,

że mogli sobie pozwolić na coś zupełnie z innego porządku. I tak mogę patrzeć w te playlistę naszą i opowiadać ci poszczególnie o każdej historii. Jest też wiele szkiców, które nie weszły na płytę, a źródło to było najczęściej od Wikipedii po zasłyszane historie przez opracowania naukowe, dosyć szeroko.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Skoro o tematyce już trochę wiemy, pozostaje jeszcze kwestia narzędzi, instrumentarium, pomysłu na tą aranżację. Dokąd tym razem zawędrowała wasza wizja muzyczna?**

BASIA DERLAK: To jest bardzo zabawne. My jesteśmy zespołem dosyć spontanicznym i czasami jesteśmy kiepscy w takich spekulacjach: to, co jest modne, to, co jest trendy, to są rzeczy, którymi się staramy głowy nie zawracać. Natomiast naszym takim kluczem do doboru aranżacji jest bardzo często kupienie nowych instrumentów albo usłyszenie jakiś takich. I my, jakoś tak było, że podczas prób Tomek Waldowski, który był naszym bębniarzem, obecnie stał się producentem i jest wielkim fanem różnorodnych brzmień, jest też multiinstrumentalistą, zaczął zaopatrywać się w instrumenty strunowe, przede wszystkim w gitary kolanowe, coś, co kojarzymy, jako gitary hawajskie. Mam wrażenie, że na drugą nóżkę pojawiły się takie pasje instrumentami elektronicznym, więc to się wydarzyło na zasadzie szukania nowych instrumentów, kupowania ich i eksperymentowania. Nam też zależało żeby tematyka płyty była spójna z brzmieniem, czyli szukaliśmy też takich brzmień współczesnych, elektronicznych i dziwnych, i bizarnych, bo ta płyta miała być taka dziwna i wprawiająca w osłupienie.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ja zachęcam słuchaczy do odkrycia tych wszystkich historii, do wsłuchania się w teksty. Być może część z tych opowieści nie jest Państwu obca - „Mrówka Zombie” Chłopcy Kontra Basia, a ja poruszę jeszcze jeden wątek działalności waszego zespołu, bo przez te kolejne odcinki cyklu, zdarzało mi się rozmawiać z muzykami, którzy podobnie jak wy zajmują się nie tylko wydawaniem własnej muzyki, ale także tworzą dźwiękowe ilustracje do różnych innych form sztuki. W waszym przypadku jest to teatr.**

**Miejsce o silnie zarysowanej rzeczywistości. Jak się odnajdujesz w tym wyzwaniu, jakim jest wpisanie się w ten świat?**

BASIA DERLAK: Trzeba się przełączyć na tryb służby. To nie są to moje słowa, zdaje się, że usłyszałam je podczas wypowiedzi Sambora Dzdzińskiego. On powiedział, że w pewnej kwestii, właśnie współpracy nad dziełem, jakim jest spektakl, muzyk służy. Służy aktorom, służy dziełu. Nie jest to miejsce na to, aby zrobić koncert, nie jest to miejsce żeby zrobić operę. Jest to po prostu miejsce gdzie muzyk ma pomóc w kreowaniu tego świata i nie przeszkadzać. Czasami ta rola plasuje się na etapie nie przeszkadzania, natomiast my mieliśmy wielkie szczęście, że podczas spektakli, za równo „Morfiny” jak i później „Portretu Damy” i ostatniego naszego spektaklu „W osiemdziesiąt dni dookoła świata” byliśmy na próbach od początku albo od połowy prób i z racji tego, że nas bardzo ciągnie na scenę, bardzo kochamy występować to tak się udało od sceny do sceny reżyserowie Ewelina Marciniak i Robert Talarczyk później instalowali nas na tej scenie, angażowali w ruch sceniczny i w interakcje z aktorami. Myślę, że tak sobie patrząc na te nasze współdziałania, my byśmy byli trochę muzykami, a trochę tam żywym elementem, już nie chcę powiedzieć aktorem, ale na pewno częścią grającą w spektaklu, na równi z innymi elementami.

**Fragment utworu „Wołga” (Chłopcy Kontra Basia)**

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: **HEDONE ma swoje początki we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Na swoim koncie wydawnictwa z pogranicza wielu stylistyk. Przez rock, industrial po alternatywę. Z końcem roku ukazał się pierwszy album z nowym materiałem po piętnastu latach przerwy. Wydawnictwo zbierające bardzo różnorodne dźwięki, rozwijające wiele muzycznych wątków, momentami zaskakujące. Moim gościem jest spiritus movens tego projektu, Maciej Werk. Ty Macieju jesteś co prawda cały czas blisko muzyki, w międzyczasie pojawił się też twój album solowy, ale jednak zapytam cię jak ci się wraca, jako HEDONE, po tych piętnastu latach z płytą „2020”.**

MACIEJ WERK: Znakomicie. Czekałem na to piętnaście lat i powiem ci szczerze, że płyta z dwa tysiące dwunastego roku czyli „Song That Make Sense” - gdybym miał teraz wybierać, to też by się okazała pod szyldem HEDONE. Ja lubię bardzo ten szyld. To jest mój pierwszy poważny zespół i to jest zespół, który ma już swoją historię. Oczywiście ma też swoje piętno, jakiś tam bagaż. Ale ja to lubię, jakby cieszę się, że właśnie teraz znowu to się dzieje, bo myślę, że to bardzo pasuje do sytuacji w ogóle, jakoś tak natychmiast uznałem, że trzeba zrobić HEDONE.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Właśnie o to też chciałam cię zapytać, bo ciekawi mnie ten zamysł, jaki towarzyszył ci choćby przy wybieraniu daty premiery albumu. Trzydziesty pierwszy grudnia to nieprzypadkowa data. Dlaczego akurat teraz, pod koniec tego przedziwnego roku HEDONE powraca?**

MACIEJ WERK: Jestem strasznie sfrustrowanym artystą, nikt nigdy mnie nie doceniał, nie byłem w żadnych podsumowaniach roku, więc tym samym ułatwiłem wszystkim, którzy mnie nienawidzą i nie lubią. Życzę by mnie nigdzie nie umieszczali ani w podsumowaniach dwutysięcznego dwudziestego, ani dwa tysiące dwudziestego pierwszego, jestem na ziemi niczyjej, outsider. A zupełnie poważnie i szczerze, pomysł na płytę pojawił się w marcu, zaraz, kiedy rozpoczął się jak to mówił McCartney lockdown i w lockdownie powstał utwór „What Dickens Says About Loneliness”, który szybko stał się też bazą do tego żeby zrobić składankę „Rare 92-20”. Za namową Michała Wilczyńskiego z GAD Records powstała taka składanka, odrzutów utworów nigdy wcześniej niewydanych, no i ten Dickens zamykał tę składankę, jako zupełnie nowy utwór. Powstał do tego też teledysk, w lockdownie już i wtedy pojawił się pomysł żeby szybko zrobić płytę. Płyta jest wypadkową różnych pomysłów, które leżały u mnie w szufladzie. Niektóre mają np. piętnaście lat jak utwór „Wstyd”, niektóre mają kilka miesięcy jak utwór „Tango” i są zupełnie pozornie do siebie niepasujące, a jednak udało nam się tą płytę złożyć, wszyscy mówią, że jest ona bardzo spójna i to jest ogromny komplement, bo rzeczywiście płyta powstawała w taki bardzo tradycyjny i szybki sposób. Pomimo tego, że te utwory miały już swoją historię i miały taką swoją bazę.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Tak, to rok, który dał się wszystkim we znaki i branża muzyczna nie jest tu wyjątkiem, ty wiesz o tym zresztą doskonale. Również od innej strony, jako dyrektor łódzkiego festiwalu Soundedit, który współorganizuje Narodowe Centrum Kultury. Z oczywistych względów ta dwunasta odsłona miała inny charakter. Część koncertów została przeniesiona i skoro jesteśmy na przełomie roku to zapytam o twoje odczucia względem tego, jak pandemia wpłynęła na odbiór muzyki. Być może nieco zmieniła nasz sposób myślenia o niej. Nowe wyzwania są dosyć jasne i chyba też nauczyliśmy się z częścią z nich radzić. Jakie masz przemyślenia około noworoczne? Zarówno, jako twórca, ale i odbiorca muzyk.**

MACIEJ WERK: Jeszcze w nawiązaniu, bo nie do końca odpowiedziałem na twoje poprzednie pytanie. Trzydziestego pierwszego grudnia wydał się datą zupełnie oczywistą, bo ta płyta ma pewnego rodzaju charakter kalendarzy. Dwanaście utworów, dwanaście zdjęć. Bardzo chronologicznych zdjęć, które sam, że tak powiem, robiłem od stycznia do grudnia, częściowo selfie. I ta data nie mogła być inna. Oczywiście jest symboliczna, bo tak naprawdę ta data premiery pewnie dla mnie będzie miała miejsce dopiero wtedy, kiedy płyta pojawi się na nośniku jedynym słusznym, czyli na winylowej odsłonie w lutym, ale zakładam, że symbolika tej daty i tej płyty ma też znaczenie. Co się wydarzyło w tym roku? Wszyscy, którzy siedzieli w domach zamknięci właściwie pewnie nie zwariowali z powodu tego, że docierały do nich jakieś znamiona normalności, znamiona czegoś co ich oderwało od myślenia i mam tutaj na myśli oczywiście sztukę i kulturę. Wszystkie te zdarzenia byłyby niczym, gdyby nie artyści. Gdyby nie to, że ktoś tworzył dźwięki, że ktoś tworzył obrazy, ktoś tworzył sztuki teatralne, że ludzie robili wszystko i stawali naprawdę na rżęsach, żeby spróbować przygotować jakiś interesujący program w formie orczy. Bo ja nazywam wszystkie streamy orczy. Sam taki program, również dzięki Narodowemu Centrum Kultury udało nam się stworzyć przy okazji festiwalu Soundedit, który jednak uważam to za wielki mój sukces tegoroczny, że się odbył, też częściowo z publicznością. Wszyscy uważali, że zwariowaliśmy, ale uważam, że nie można odpuszczać sztuki i właśnie moje życzenia noworoczne są dla wszystkich bardzo

proste. Dzisiaj je wymyśliłem. Życzę Państwu dużo fizycznych kontaktów w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku. Ma to oczywiście wiele różnych aspektów, ale pod każdym względem, bo myślę, że to dotyczy też dzieciaków, które nie chodzą do szkoły i nie mogą się poboksować na przerwie z rówieśnikami. Dotyczy to nastolatków, którzy nie mogą pościskać się w kinach. Dotyczy to artystów, którzy nie mogą pluć na publiczność, która jest w pierwszych rzędach. Myślę, że Iggy Pop bardzo cierpi z tego powodu. Myślę, że publiczność nie może nosić na rękach swoich artystów i wrywać im kawałka koszuli, jak to się dzieje w przypadku koncertów Morrissey'a. Jest wiele takich przykładów, kina, dla pani, która sprzęta popcorn nie może tego robić, no i tak dalej i tak dalej. To jest taki rok, który pokazał nam, że właściwie wszystko, co widzieliśmy w amerykańskich filmach grozy jest realne.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: To powróćmy jeszcze do albumu, „2020” bo przyznam, że w nie małe zaskoczenie wprowadził mnie jeden z utworów, a w zasadzie jego outro. Słucham, słucham i nagle myślę sobie, że chyba to znam. Nelly Furtado, w której zaśluchiwałam się, jako nastolatka, w pewnym momencie śpiewasz jej tekst „All Good Things (Come To An End)”. To dosyć pesymistyczna wizja i być może za moment skorygujesz to, co powiem, ale chyba taki nastrój towarzyszy właśnie temu albumowi.**

MACIEJ WERK: Nie, nie ta płyta się kończy optymistycznym dźwiękiem fortepianu, bardzo takim lekkim. Jednak mimo wszystko tytułowy utwór „2020” apokaliptyczna wizja kończy się czymś przyjemnym. A dlaczego jest ten fragment z „All Good Things (Come To An End)” Nelly Furtado? Po pierwsze, dlatego, że bardzo lubię ten utwór. To jest piękna piosenka, ale kiedy skończyliśmy nagrywać wokale do tego utworu „Klink Klank”, Sebastian Binder, mój przyjaciel i realizator tej płyty powiedział „wiesz co, tu jest jakaś dziura na końcu, może byśmy coś wstawili, jeszcze przekręcili”. Ja tak zacząłem nucić i jakoś zacząłem tak nagle, sam z siebie zaśpiewałem. Mówię: ty, nagrajmy to. I nagrałem ten fragment i jak już kończyliśmy miksować płytę „2020” to wyszła płyta Miley Cyrus. Zresztą świetny album ostatni. Bardzo dobra płyta. Tam jest fragment w utworze, którym ona śpiewa, nazwała to interpolacją, więc użyłem również tego samego słowa interpolacje. Ona użyła interpolacji z utworu Olivii Newton-John



„Physical”, a ja użyłem interpolacji utworu Nelly Furtado. Wszystkie dobrze rzeczy się kończą, wszystkie złe rzeczy też się kończą. Ja tutaj raczej nie bazowałem na tekście, jednak jestem niepoprawnym optymistą i ta płyta, i ten rok pokazuje, że nawet w najgorszym możliwym roku można wydać trzy płyty, zrobić film dokumentalny, czyli tak naprawdę zrobiłem więcej, niż przez ostatnie piętnaście lat.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: To jeszcze dodam trochę słońca, bo twoja płyta zapoczątkowała katalog nowego labelu wydawnictwa GAD Records, które specjalizuje się głównie w odświeżaniu i wyszukiwaniu muzyki archiwalnej, a tutaj zupełnie premierowe nagrania pod szyldem New Sun. Czy możemy to traktować, jako nowy start, być może również nowy kierunek dla HEDONE?**

MACIEJ WERK: Sytuacja jest taka, że Michał Wilczyński, z którym się przyjaźnimy i łączy nas wiele różnych pasji, a przede wszystkim pasja zbierania płyt i kolekcjonowania płyt i opowieści o tym jak to ekstra jest mieć szóste wydanie dwunastocalowego singla, na którym pojawia się zupełnie inna wersja utworu, który doskonale znamy. Michał namówił mnie na składankę chyba. Ja mówię: no to słuchaj zrobię całą płytę. On mówi „wiesz, co, ja od dawna mam taką nazwę New Sun, zarejestrowaną domenę i chciałbym zrobić taki label”. Ja mówię „to zrobmy ten label, zacznijmy od HEDONE i zobaczmy co będzie dalej”. I tak to się stało. Kiedyś prowadziłem wytwórnię płytową Love Industry i jakby pomyślałem sobie, że nigdy więcej. Ale z Michałem to zupełnie inaczej. Mam jakiś taki pomysł, że będziemy wspólnie decydować o pewnych rzeczach, które będą wydawane. Mamy jakieś pomysły na przyszłość. Oczywiście to ma być pewnego rodzaju, nie chcę używać słowa ekskluzywne, bo to źle brzmi, ale nie ma nic złego w ekskluzywności, w snobizmie. Taka snobistyczna historia, która ma spowodować żeby ludzie znowu wrócili do takiej formy funkcjonowania płyty, jak to było kiedyś. Czyli płyta funkcjonuje przez pół roku albo przez dziewięć miesięcy. Tak zamierzam zrobić z płytą HEDONE. Chcemy wydać jeszcze dwa single, dwa teledyski, remiksy, nie wiem, dodatki. Teraz żyjemy w takim świecie, sam jestem radiowcem, więc wiem jak to wygląda. W piątek są premiery, a w następny piątek jest kolejne dwadzieścia pięć znakomitych albumów,

o których już za tydzień nikt nie będzie pamiętał, bo znowu mamy następne premiery. Ja bym chciał tego uniknąć. Czy nam się to uda? Jesteśmy niepoprawnymi romantykami, to pewnie tak.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Jestem ciekawa, w którą stronę to New Sun się uda. Póki co, zachęcamy do odsłuchu nowej płyty HEDONE „2020”.**

MACIEJ WERK: Miejmy nadzieję, że Kontrola Jakości przebiegła pozytywnie. Życzę wszystkiego dobrego raz jeszcze w nowym roku i bardzo dziękuję za wszelakie wsparcie, jakie uzyskuje na różnych polach od tej fantastycznej instytucji, jaką jest Narodowe Centrum Kultury.

#### **Fragment utworu HEDONE – 2020 (New Sun)**

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Przed nami jeszcze twórca odpowiedzialny za singiel „Mostly 4 Fun” o alternatywno-rockowym brzmieniu i to jest zapowiedź albumu, który okazuje się z początkiem lutego. Ze mną zespół Max Bravura. W dwa tysiące szesnastym roku wydaliście EP-kę, pojawiały się głosy o brzmieniu na poziomie światowym. Później było jeszcze kilka singli i trochę gdzieś przepadliście. Co się działo przez ten cały czas?**

MACIEJ WACHOWIAK: Cześć tu Maciej Wachowiak z zespołu Max Bravura. Faktycznie było tak, jak mówisz i po wydanej EP-ce i trasie koncertowej, dosyć intensywnej w moim teraz odczuciu, bardzo w każdym razie rock and rolowej, słuch trochę zaginął. Zespół w tamtym składzie rozpadł się, dzień przed Spring Breakiem w Poznaniu, gdzie de facto zagraлиśmy, znaczy się zagrałem, Max Bravura wystąpił. Natomiast już nie takim, jaki był znany ludziom, gdy promowaliśmy tą płytę. Dla mnie bardzo ważne jest to, że po latach teraz czas skorygował wszystko tak, że z każdym z chłopaków z tamtego składu mam fajny kontakt, niekiedy bliższy. Natomiast już nie

mogło się to odbyć tak dalej. Miałem trasy koncertowe dalsze, przez lata z innymi wersjami składu, który jeszcze nie był jakby finalny. Weźmy pod uwagę, że ta sytuacja była dla mnie bardzo mocnym ciosem. Wtedy jeszcze próbowałem odbudować skład, tak jakby żeby grać aktywnie. Z fajnym rezultatem. Spotkałem na swojej drodze wtedy Kubę Lipińskiego, Maćka Szemraja i Piotrkę Witta. Graliśmy razem w Warszawie. Potem wyprowadziłem się na Śląsk. To też nie przetrwało przez zmianę miast. Na Śląsku powolutku zacząłem szukać składu. Najpierw w duecie zacząłem grać z takim moim kolegą, zapoznanym wtedy Mikołajem Makowskim. On na syntezatorach, ja na gitarze z bitem. Potem dołączył dopiero bębniarz. Bardzo świadomie zacząłem tak myśleć już na ten temat, mniej może kompulsywnie, że to musi być rock and roll. Teraz, instant play. Żyjemy, przypominam, w takich czasach momentalnej gratyfikacji. Po sześćdziesięciu koncertach z jedną EP-ką miałem pewne oczekiwania i musiałem dać temu okrzepnąć. Potrzebny był ten czas, wydaje mi się na dzisiaj na Maxa. Teraz album jest inny. Zmieniło się też instrumentalnie, bo przez to, że dodawaliśmy tak trochę z opóźnieniem każdego członka z osobna Jacek Bies, ostatni członek zespołu dołączył jakieś półtora roku temu, rok temu. Zegraliśmy razem z nim parę koncertów, zanim jeszcze wymyśliliśmy, że nagramy to na setkę. Pierwsza płyta była w ogóle studyjna, bardzo studyjna, nagrana w trzech różnych miejscach. A ta była nagrana, trzeba oddać w stu procentach klimat jak gramy na żywo. Natomiast są synthy, więcej elektroniki. Postawiłem na to, żeby było Too Bravura.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Czyli udało ci się poskładać zespół, nagraliście nowy materiał. Piszecie o nim, że jest to płyta będąca kontynuacją drogi obranej przy pierwszym wydawnictwie, ale wycieczką kierują już dużo bardziej świadomi przewodnicy. Na czym polega ta większa świadomość? Czy to jest kwestia rozwinięcia umiejętności gry? Czy może wiedza na temat tego, jaki efekt chce się uzyskać? A może kwestia jakiegoś konkretnego zamysłu towarzyszącemu płycie? Na jakim poziomie rozpatrujesz tę świadomość?**

MACIEJ WACHOWIAK: Miałem więcej otwartości po tym czasie, który opisałem wcześniej pokrótce. Dla mnie to było zawsze bardzo ważne, żeby to, co robię

na nagraniach mogło showcasować. Żeby to było wolne. Dzięki temu, że mam świetnych teraz instrumentalistów, faktycznie pod tym względem można powiedzieć, że tip top. Olaf i Jacek skoczyli wszystkie stopnie szkoły muzycznej, coś, czego ja w ogóle nie skończyłem. Ja jestem naturszczykiem i jakby nazywam siebie głównie songwriterm. Raczej myślę o tym, że piszę melodię, układam elementy, ale chłopaki mieli luz interpretacyjny w studio. Mogli to sobie ułożyć po swojemu. Ja nigdy nie oczekiwałem, że będzie to taki rezultat. Jeszcze do tego doszła świetna post produkcja, którą Mikołaj zrobił razem z Franciszkiem Stępnem, który również miksował, masterował jeden utwór, ale miksował całość. Bardzo to wszystko się fajnie udało, jakby można powiedzieć, że wreszcie odbyło się to tak jak należy. Inna sprawa jest taka, że chciałbym, żeby rzeczy które robię, były niejednorodne, ale żeby były spójne i bardziej może holistyczne.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Jak wobec tego będzie brzmiała ta płyta?**

MACIEJ WACHOWIAK: Na samym początku ja chciałem zrobić wydanie anglojęzyczne w pełni i ewentualnie zrobić bonus tracki albo osobne wydawnictwa, jednak teraz, gdy mamy do czynienia z pandemią, gdy wydawnictwo zostało opóźnione w zasadzie o rok, to w moim poczuciu nie można odpuścić i trzeba to było jakoś fajnie sklecić i wybraliśmy taką formę gdzie płytę będzie otwierać taki krótki skit, do którego teraz przygotowujemy klip. Jestem podekscytowany, trochę zmęczony tym wszystkim, ale będzie ekstra i on będzie zupełnie inny niż dalsza część. Dwa utwory na start, potem będzie angielska część, która jest taka najbardziej spójna i to miałem na myśli wcześniej. Ona była planowana na płytę rok temu i rzeczy, które teraz powstały dalej są dodatkami, więc będą trzy utwory po polsku po prostu na płycie.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: I to jest też chyba coś nowego, jeśli chodzi o twoje pisanie, utwory z polskim tekstem.**

MACIEJ WACHOWIAK: Ja piszę utwory po polsku od piętnastu lat, ale nigdy nie opuszczałem mojego comfort zone, nie pokazywałem dalej. Czasem wykonywałem takie utwory, jako skit podczas koncertu. Od jakiegoś czasu nawet spontanicznie tłumaczę swoje utwory już angielskie, znane z pierwszej EP-ki, gdy gram, żeby w trakcie koncertu ludzie mogliby przeżyć to tak po polsku.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ja zauważam, że niektórzy twórcy niejako dojrzewają do pisania tekstów w języku ojczystym, Myślę tu choćby Baaschu, który latem też wydał płytę zawierającą polskie teksty. Wcześniej wydawał utwory anglojęzyczne. Chyba trochę tak jest, że obcy język, w tym przypadku angielski jest pewną kryjówką**

MACIEJ WACHOWIAK: Ja się zgadzam i z drugiej strony mam pewne adnotacje. Bo tak, zgadzam się, w tym sensie, że jest człowiek odkryty, jest człowiek jeden do jeden z odbiorcą wtedy bardziej, gdy śpiewa w ojczystym języku. Nie ma tej granicy. Mi zawsze zależało, na wczesnym etapie twórczości, na tym żeby granica była w wyobrażeniu. Język angielski nie przeszkadzał mi wtedy, bo dla mnie przekaz emocjonalny był kluczowy. Angielskie słowa są tak plastyczne, samogłoski tak lecą w tych słowach, że to jest jak plastelina. Jakby dzisiaj słucham dziś pierwszej EP-ki to też w ogóle tego nie słyszę, jakby faktycznie masz rację wszystko się zmienia i nie poznaję chłopaka sprzed trzech lat w pełnej krasie, ale jakby ta płyta jest super z drugiej strony jak jej słucham po czasie.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Chciałam cię jeszcze zapytać o to, jak trafiłeś do tego świata syntezatorów? Do świata pełnego gitarowego grania, ale też i fascynacji melodiami. Pamiętasz, co było takim odkryciem, które postawiło cię na tej ścieżce twórczej?**

MACIEJ WACHOWIAK: Jeśli to miało być szczerze, to myślę, że musiałbym się długo zastanowić, bo ja mam opinie, że empiryczne doświadczenia budują tak

najbardziej styczność. Jak byłem nastolatkiem, byłem w liceum to chciałem zostać aktorem tak naprawdę. Wtedy chodziłem na takie różne warsztaty teatralne, robiliśmy jakieś śmieszne rzeczy, jak to licealiści. W związku z tym, przedstawienie jakieś albo uczyłem się jakiś tekstów. Ale rzuciłem to, potem wybrałem drogę rozsądku na dwa lata, by potem finalnie obrać muzykę. Zawsze mi się podobała ekspresja i to, co można zrobić z tym głosem, że człowiek ma ten limit, że może człowiek powiedzieć „o”, może powiedzieć też „ooooo”, prawda i „aaaaa”, to jest skrajność. Teraz mnie to interesuje, więc gdzieś tam wraca to dzisiaj, ale też widzę mocniej, jak gdzieś tam trzeba szukać tego, że to było moją inspiracją w ogóle do robienia czegoś, co jest ekspresyjne, co jest dla ludzi, bo to jest dystynkcja i jest dzisiaj w tym kraju dziesięć tysięcy bardziej zdolnych muzyków niż ja, którzy nigdy nie wyjdą z sypialni i to jest zajmujące, bo należy ludziom dawać skrzydła, a my siebie nawzajem oceniamy i mówimy „tutaj bym zrobił lepiej kochany ty mój”. Więc wydaje mi się, że inspiracje są głęboko w ludziach od zawsze albo od wczesnych etapów i to jest klucz dla mnie, a muzyka, której słucham jest takim spectrum. W ogóle sorry, że uciekłem, ale że mi jest nie sposób o tym mówić, bo ja słuchałem tego tak dużo, że dzisiaj jak słucham muzyki, to głównie przełączam, szukam takiego jakby sweet spotu, który jest cały czas. Ale to jest też próżne dążenie. Wydaje mi się, że chwila i moment, i pomysł, koncepcja i jakby świadoma myśl jest, nie wiem, w jakiś sposób może wycyrkowaniem na to, co chcemy uzyskać, ale też odpuszczenie jest kluczem do tego żeby pisać jakieś te rzeczy.

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A gdybyśmy poszukali tych inspiracji może bardziej konkretnych. W opisie dołączonym do singla piszecie o nawiązaniu do złotych lat polskiej alternatywy. Co one dla ciebie oznaczają?**

MACIEJ WACHOWIAK: Ja jak pisze polskie numery to nie myślę, że chciałbym napisać na pewno piosenkę jak Dawid Podsiadło, bądź Krzysztof Zalewski. Nie myślę o tym, że chcę brzmieć jak taki obecny polski artysta bądź taki. Liczę się z tym, że jest pewna stylistyka, która otwiera człowieka na mainstream czy tutaj człowiek może zrobić poezję śpiewaną, może człowiek robi dzisiaj pop i to są wszystko decyzje stylistyczne, ale faktem jest, że kiedyś polski rock był bardziej żywym, to był żywy ruch.

Było wiele festiwali i było to reakcją ludzi, środowiska na to, co dostają, sztuką krytyczną albo czymś takim dla wyzwolenia. To były fajne czasy. Dzisiaj mam wrażenie, że wszystko jest wycyrklowane pod grupę docelową i każdy się boi zrobić coś bardziej, bo przecież wtedy zawiedzie swoich fanów, którzy są zbudowani na tym, że mam stylistykę zbliżoną do innego artysty z tej grupy docelowej. To jest wzajemne cancelowanie się, przez to nie ma takiej sceny. Jest scena hardkorowa, oni są do-it-yourself, oni sobie pomagają i to nie jest tylko grupa muzyczna, to jest jak hip-hop, tylko w działaniu, to są ludzie zrzeszeni. Brakuje mi tego w polskiej scenie. Kiedyś tak było i teraz wydaje mi się, że to wraca i mam nadzieję, że to wraca. Inspiruję się stylistycznie obecnie zespołami takimi jak z Australii, z Flightless Records, jak King Gizzaard & the Lizzard Wizard, The Murlocs, takiego typu klimaty. Inspirują mnie te melodie i to jak selektywny jest odbiór. U nas w Polsce jest czterech muzyków, zastanawia się jak zaakcentować się nawzajem, a oni tam grają wszyscy razem tę samą melodię. Może jeden z nich w jakimś interwale. To jest fajne, to jest świadomy przekaz melodii, świadomy przekaz tego, co ma być w utworze, a mają siedmiominutowe piosenki. Z drugiej strony fajną inspiracją są takie zespoły w naszym brzmieniu stricte, takie jak Arcade Fire, jak LCD Soundsystem. To były zespoły, które mnie bardzo inspirowały na wczesnym etapie twórczym. To są tylko inspiracje, tak jak mówię, że my nie jesteśmy Richie Rich, ale mamy w głowie to, co chcemy oddać, zobaczymy, jaki będzie odbiór, przyjęcie płyty. Na pewno ja uciekam od wszelkich łatek typu vintige rock, złote czasy tego, tamtego. Myślę, że my musimy zrobić więcej roboty, żeby po prostu nie musieć nic mówić, Na razie trzeba było coś powiedzieć, mam nadzieję, że to wystarczy i że to, co powiedziałem też jakoś to uzupełnia.

### **Fragment utworu Max Bravura – Mostly 4 Fun**

**DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: „Mostly 4 Fun” pierwszy singiel zapowiadający krążek „Too Bravura”. Wśród moich i Państwa gości dziś: Basia Derlak, Maciej Werk i Maciej Wachowiak. Ja nazywam się Martyna Matwiejuk i zapraszam na kolejną Kontrolę Jakości już w pierwszy piątek lutego.**

♪[PRZECIĄGŁY.DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie